

III. Wiceprezydent Kaczyński

Jarosław Kaczyński zawsze był człowiekiem walki. Już po urodzeniu bracia musieli walczyć o pierś matki. W demokracji stał się dość szybko człowiekiem władzy. Władzy butnej, aroganckiej i dalekiej od ludzi. Szukam uzasadnień dla takiej postawy w powodach bardzo życiowych. Normalny człowiek potrafi cieszyć się zwykłymi sprawami, życiem rodzinnym, budowaniem domu, dobrobytu, zadowolenia i bezpieczeństwa swoich bliskich. Zupełnie naturalne jest to, że szuka się przyjaciół, szczęścia, spełnienia w pracy, czy nawet w udanym życiu erotycznym. Mogę więc zrozumieć ludzi, dla których pieniądze, władza i seks mogą być celem, ale ważne jest zachowanie proporcji. Trudniej zrozumieć Jarosława, dla którego władza jest celem samym w sobie. Jest grą, strategią i manipulacją. Jest wreszcie sposobem leczenia własnych kompleksów. W tym wyimaginowanym świecie tylko siebie widzi jako rozgrywającego. Wszyscy inni to albo lojalni żołnierze, albo wrogowie. Łącznie z własnym bratem.

Po kilkunastu latach wolnej Polski potrafił ogłosić, że władzy raz zdobytej nie odda nigdy. Takie ciągotki ujawniał już w mojej Kancelarii. Z tą tylko różnicą, że przez lata chciał rządzić, ale się bał. Zdarzało mi się, trochę dla testu, trochę dla żartu, przedstawiać ludziom Kaczyńskiego jako mojego zastępcę. Mówiłem: „Pan Kaczyński, wiceprezydent”. I rzeczywiście wiedziałem, że „wiceprezydenturę” przyjmował bardzo dosłownie i sam tak siebie chciał widzieć. Nie przeszło mi wtedy przez myśl, że kiedyś posiadzie z bratem władzę najwyższą, chociaż powinienem był zakładać, że władza dla takich ludzi może stawać się właśnie celem i sensem życia. Chyba w to, że był moim „zastępcą” uwierzył, bo po latach głosi, że znalazł się obok mnie, bym realizował jego scenariusz. Przewrotne myślenie. Nigdy nie miał poczucia humoru, ale tu mu go nie zabrakło. Kiedy mu to było wygodne, twierdził, że to on był architektem zmian ustrojowych, że to on wymyślił i powołał pierwszego demokratycznego premiera Mazowieckiego. Teraz jest mu mniej wygodnie do tego się przyznawać. Jego chorobliwa ambicja sprawdzała się czasem w walce, ale już przy konstruowaniu czegoś była bardzo uciążliwa. Zaczął od przerostów ambicji, potem przerosły go sytuacja i odpowiedzialność. Robił coraz więcej prostych błędów, a te błędy krył za podejrzeniami o spiski, jątrzył. Nieraz mu dawałem szansę. Z mojego nadania został naczelnym sztandarowego „Tygodnika Solidarność”. Bez sukcesu. Potraktował go tylko jako platformę do dywersyjnej działalności. Mianowałem go szefem mojej Kancelarii. Na rok - i o rok za długo. Był zupełnie niezdolny do konstruktywnych działań, a swoje nieudacznictwo zawsze tłumaczył agenturą wszystkich wokół niego i spiskami przeciw niemu, które knuto.

Zawsze się tym tłumaczył. Czasem nie starczało mu też ambicji. Zaproponowałem mu, żeby był premierem, zanim został nim Olszewski. Nie chciał, mówił, że jest zmęczony, że jeszcze bardziej będą go wszyscy atakować. Może już wtedy realizował jakiś tajny plan? Jak sam później opowiadał, taka była umowa między nim, bratem, komitetami obywatelskimi i jego partią, że premierem nie zostanie. Dlaczego? Czyżby chciał czekać na to kilkanaście lat? Po wyborach 2005 roku też nie zdecydował się na stanowisko premiera od razu. To był rzeczywiście chytry plan: nie chciał zostać premierem jako lider zwycięskiej partii, bo naród nie wybrałby wówczas brata na prezydenta. Miał świadomość, że na drodze demokratycznej, w powszechnych wyborach, nie byłoby premiera Kaczyńskiego i prezydenta Kaczyńskiego.

W pewnym momencie Kaczyński lansował na premiera Jana Olszewskiego, który nie zdołał jednak wtedy utworzyć rządu. Takim był strategiem. Po latach docenił ponownie pana mecenasa Olszewskiego. Nie tylko ta sprawa z pierwszym podejściem do niedoszłego wówczas premiera Olszewskiego mu się nie udała. Dzisiaj Jarosław Kaczyński wiele mówi o dekomunizacji i deubekizacji. Ja się więc pytam: gdzie był i co robił, kiedy miał możliwości działania w latach 90.? Choć był w Kancelarii Prezydenta ministrem stanu, a więc wysokiej rangi urzędnikiem, jakoś nie chciał wówczas dynamicznie pracować nad tym problemem ani ostro dekomunizować. Później głosił, że ja mu nie pozwalałem. Albo też dodawał, że wtedy i obecnie jego wróg - numer dwa, chyba zaraz po mnie - Wachowski podcinał mu nogi. Mógł też przeszkadzać nawet ksiądz Cybula, bo był blisko mnie, albo Drzycimski. Jedna jest tylko wątpliwość. Kim w końcu był wtedy Kaczyński? Podrzędnym urzędnikiem, wykonawcą poleceń wszystkich wokół, za wszystko zbierającym cięgi? Przecież był ministrem stanu! Szefem Kancelarii Prezydenta RP! Dlaczego czerwonych i czarnych nie porozstawiał po kątach? Nieustannie mi zarzuca, że tego nie zrobiłem. Jak mogłem to robić z takimi ludźmi jak on? Wielokrotnie go namawiałem, żeby coś zrobił w tej sprawie, wymuszałem jakieś działania, a on wiele razy, już po zdymisjonowaniu, zarzucał mi, że to ja powstrzymuję dekomunizację. To była czysta propaganda uprawiana już na potrzeby jego partii politycznej i własnych celów. Zapomniał, choć kiedyś się do tego przyznawał, że to właśnie on sam podczas tworzenia rządu Mazowieckiego naciskał na pozostawienie

komunistom strategicznych siłowych resortów. Argumentował, że jeśli tak się nie stanie, to w ogóle nie będzie rządu solidarnościowego. Stało się zgodnie z jego naciskami. To akurat mu się udało. Szkoda jednak, że w pewnych sprawach dotyka go amnezja. Jarosław Kaczyński zapomniał też, że za swoich rządów w Kancelarii trzymał na wysokich stanowiskach komunistów z czasu prezydentury generała. Tu też naciskałem i mówiłem: „Zmieniaj ich!”. Nie zmieniał. Mówił nieraz, że to dobrzy fachowcy, że nie mamy innych. I w tym przypadku miał swoje argumenty. Twierdził, że gdyby pojawili się ludzie z „Solidarności”, to kupowaliby nowe meble, telewizory, zbędne sprzęty i malowaliby ściany. Może dogadał się z komunistami, że nic nie będą robić, zmieniać? Swoją drogą przydałoby się tam trochę przewietrzyć i odmalować. Nie widział tego minister Kaczyński. W czasie prawie rocznej pracy w Kancelarii Prezydenta nie wyszedł z żadną propozycją ustawową w sprawie dekomunizacji i nie podjął żadnego działania w tej sprawie.

I jeszcze jedna rzecz obnażająca rzekomo antykomunistyczną postawę obecnego premiera. W wywiadzie-rzecz *O dwóch takich... Alfabet braci Kaczyńskich* zapytany przez dziennikarzy o to, jak odebrał prezydenckie zwycięstwo Kwaśniewskiego w 1995 roku, Jarosław Kaczyński odpowiedział, że zdecydowanie dobrze. „Wypiłem wtedy potężny kielich dobrego wina”. I co tu dużo mówić, powiódł się wówczas jego misterny plan odsunięcia mnie od władzy. Tyle lat na to pracował! W imię własnych, niezrozumiałych w tej sytuacji ambicji, czy może chęci choćby pośredniej zemsty, potrafił się cieszyć z przegranej obozu postsolidarnościowego - bo taki wtedy reprezentowałem w tej batalii. Tak objawiła się, nie pierwszy raz, małość tego człowieka. Na drodze zemsty nie zawahał się pójść dalej. Głosi, w innym wywiadzie, że nie dziwi go moje spotkanie z prezydentem Kwaśniewskim w maju 2007 roku na Uniwersytecie Warszawskim, podczas konferencji na temat standardów demokratycznych. Zobaczył w tym działanie układu i rozpaczliwą obronę wszelkich patologii, które według niego uosabiamy. To sprytna taktyka, bo układem i spiskiem można wszystko wytłumaczyć. Przecież nawet komunizm został w Polsce w taki sposób obalony. Skoro tak, to niech premier nie zapomina, że brał w tym udział.

Takie przykłady mogę wyliczać długo. Tym bardziej, że nie były to tylko werbalne deklaracje. Jarosław Kaczyński i jego środowisko, bliskie otoczenie, mogło robić niezłe interesy z postpezetpeerowską nomenklaturą. Widać to doskonale na przykładzie Fundacji Prasowej „Solidarności”. Było tu wiele niejasnych powiązań, spółek i spółeczek, zakładanych między innymi przez Kaczyńskiego, jak Telegraf S.A. Do dziś wiele wątpliwości, jak słyhać tu i ówdzie, nie zostało wyjaśnionych. Czy naprawdę żaden pieniądz nie śmierdzi, a poparcie można śmiało zdobywać hasłami o moralności i oczyszczaniu życia publicznego z układów? Czysta hipokryzja i podwójna moralność!

Chcę po latach stwierdzić, że tak naprawdę niewiele się zmieniło w postępowaniu politycznym braci - biznesowego dobrze nie znam. Jest jedna różnica: mają teraz niepodzielną władzę z pełnymi tego konsekwencjami. Nie zmieniam swojego stosunku do braci Kaczyńskich. Ich smutna praktyka sprawowania władzy utwierdza mnie w moich przekonaniach, a niedowiarkowie, no cóż, sami już teraz widzą... No, chyba że nie chcą widzieć, są zaślepieni albo zmanipulowani. Ze względów taktycznych i socjotechnicznych bracia Kaczyńscy otaczają się ludźmi jeszcze niższych lotów, jeszcze gorszymi od siebie, aby mogli być na tle miernoty jakoś akceptowalni, znośni. I to łatwy zabieg, bo ataki, niechęć skupiają się na tych gorszych, na otoczeniu. Tamci zbierają cięgi. A Kaczyńscy w sondażach radykalnie nie tracą.

Premier Kaczyński ma teraz trochę trudniej, bo nie może już narzekać na prezydenta, że mu przeszkadza, że mu blokuje. Potrafi jednak prezydenta przywołać do porządku, jak to było chociażby przy okazji spotkania dziennikarek z prezydentową Marią Kaczyńską. Nie spodobało się to ojcu Rydzykowi. Jarosław Kaczyński dał więc do zrozumienia, że bratowa nie do końca wiedziała, co podpisuje. Jak tak dalej pójdzie, sprawdzą się moje przewidywania, że bracia się ostatecznie pokłócą.

Niech mój były „zastępca” póki może, wykazuje się i korzysta z wyśnionej przez lata pełni władzy. Czas na oceny przyjdzie szybciej, niż myśli.